

Być
Ludźmi

o. Leon Knabit OSB

Być Ludźmi

Wydanie trzecie, poszerzone



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

KRAKÓW 2010

Projekt okładki i opracowanie graficzne:

Anna Siermontowska-Czaja

Fotografia na 1 s. okładki:

Anna Siermontowska-Czaja

Fotografia na 4 s. okładki:

Aleksandra Orman

Redakcja:

Aleksandra Orman

Superiorum permissu: Opactwo Benedyktynów

L. dz. 53/2009, Tyniec, dnia 1.04.2009 r.

† Bernard Sawicki OSB, opat tyniecki

ISBN 978-83-7354-290-7

© Copyright by TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37; 30-398 Kraków

tel. (012) 688-52-90, fax (012) 688-52-91

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

SPIS TREŚCI

Być Ludźmi	7
A Święta już blisko	13
I cóż z tym cierpieniem?	16
Wypoczynek	21
Gdzie czarty i wiedźmy	25
Byłem w Szwecji.....	32
Przykazania jednak obowiązują	41
Zwycięzca śmierci, piekła i szatana.....	46
Co tam, panie, na Podlasiu	53
Pójdźmy wszyscy do stajenki!	59
Były i takie rekolekcje.....	63
Rok właśnie minął	71
Naśladować.....	78
Refleksje nad dyskusją o Pasji	83
Nieszczęsny dar wolności	89
I jak tu mieć nadzieję.....	96
Ponieśli i wilka.....	101
Amen.....	107
Pochylając się nad Żłóbkiem	113

Po roku	119
Wobec nowego Papieża	123
Mówić dzisiaj o szczęściu?.....	129
Przypatrzmy się powołaniu naszemu.....	135
Trwajmy w wierze	140
Po wyborach	146
Książka i róża	150
Litwo, Ojczyzno moja	157

BYĆ LUDŹMI

Niełatwo jest być człowiekiem chorym, ale i być z chorym nie jest łatwo. Gdy byłem niewielkim chłopcem, powiedziałem kiedyś w domu, że chciałbym być chory, bo wtedy się leży, nic nie robi, a rodzice przynoszą czekoladę i pomarańcze. Mamusia uśmiechnęła się wtedy z dezaprobatą. Dzisiaj, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, myślę, że wtedy nie poznałem jeszcze prawdziwej choroby. Temperatura, małe przeziębienie, czasem niegroźna angina – to było wszystko. Potem trafiały się i poważniejsze dolegliwości, których jednak nie przyjmowałem już z radością dla czekolady i pomarańczy (w okresie międzywojennym niezamożna rodzina rzadko mogła sobie pozwolić na takie delikatesy). Poznałem rzeczywistość przychodni, szpitala i sanatorium – miejsc o szczególnej specyfice. Na co dzień nie wi-

dać tak wielu chorych – są jak gdyby rozcieńczeni w tłumie, który nas otacza. A te przybytki boleści to swoista „esencja”. Najważniejszymi problemami stają się tu badania, zdjęcia, zabiegi, ból, oczekiwanie, stosunek personelu do pacjenta, wysokość normalnych czy nadnormalnych honorariów, łapówek, opłat za leki itd.

Wspaniała pielęgniarka, nieżyjąca już dzisiaj Hanna Chrzanowska, wielką troską otaczała chorych, nieraz całymi latami przebywających w domu, bez wystarczającej opieki lekarskiej, przy niezbyt życzliwym stosunku rodziny czy sąsiadów i niewystarczającym zainteresowaniu opieki społecznej czy też parafii. Zainteresowała tymi ludźmi i uwrażliwiała na ich potrzeby duchowieństwo parafialne, w czym dzielnie sekundował jej proboszcz mariacki ks. infułat Ferdynand Machay oraz młody a dobrze zapowiadający się ksiądz – Karol Wojtyła. A kiedy ksiądz Wojtyła został biskupem i pasterzem Kościoła Krakowskiego, sprawa nabrała rozmachu. To, co w szerokim tego słowa znaczeniu nazwać można pielęgniarstwem domowym, zaczęło przynosić owoce. Biedni chorzy wiedzieli już, co znaczy posprzątane mieszkanie, umycie, regularne posiłki, leki, a nawet ... rekolekcje. Tak! Dzięki życzliwości Księży Salwatorianów, którzy w połowie lat sześćdziesiątych udostępnili swój

dom rekolekcyjny w Trzebini, możliwe stało się zorganizowanie każdego roku paru turnusów rekolekcji dla ludzi, którzy nieraz po kilka lat z okna swojej rudery mogli widzieć jedynie mały trójkącik nieba – raz szarego, raz niebieskiego i oczywiście czarnego.

Z pomocą przyszły duszpasterstwa akademickie, siostry zakonne, nowicjaty klasztorów żeńskich i męskich, a także pielęgniarki i lekarze oraz rzesza świeckich, którzy służyli zwłaszcza nie tak łatwymi wtedy do zdobycia środkami transportu, by chorych przywieźć i odwieźć. I mieliśmy wtedy taki pięciodniowy szpital... w domu rekolekcyjnym. Szkoła prawdziwej troski o człowieka. Kalectwa nieraz okrutne, choroby przewlekłe najprzeróżniejsze, stany psychiczne arcytrudne. Pochylaliśmy się z troską i szacunkiem nad wszystkimi chorymi i nad każdą osobą. Takimi też byli i odwiedzający chorych w Trzebini, czy potem w Kalwarii Zebrzydowskiej u Ojców Bernardynów, arcypasterze – księża kardynałowie Karol Wojtyła i Franciszek Macharski oraz księża biskupi. Z czasem nabieraliśmy doświadczenia, chętnie też korzystaliśmy z doświadczenia innych – że choroba nie jest jednak najważniejsza, że najważniejszy jest człowiek. Jeśli całą uwagę skupiało się na chorobie, to człowiek dziwnie

karłał – stawał się egocentryczny, nadmiernie wymagający, żądając nawet tego, co mu się nie należało, niekiedy wprost szantażował swoje otoczenie i wykorzystywał dobrą wolę, zwłaszcza niedoświadczonych wolontariuszy. I dlatego staraliśmy się nie pozwolić na roztkliwianie się nad chorobą. Panie różnego wieku ze stwardnieniem rozsianym, na wózkach, sparaliżowane, zachęcaliśmy do większej troski o siebie, o jakiś tam makijaż i wedle możliwości elegancki strój. Sprowadzaliśmy różnych interesujących ludzi, którzy opowiadali chorym o szerokim świecie i pokazywali ciekawe przeżycia. Wprowadzaliśmy też bardzo wiele humoru. Czasem przynosiły go dzieci odwiedzające poszczególne turnusy, czasem studenci, często także duchowni prowadzący rekolekcje. Nasi chorzy – bywało – reagowali wręcz huraganowym śmiechem. Gdyby ktoś nieświadomy usłyszał te salwy ZDROWEGO śmiechu tylko przez drzwi, a potem zajrzał do środka, nie posiadałby się ze zdumienia – a więc tak mogą śmiać się ludzie uważani przez wielu za wraki, za biologiczny margines społeczeństwa? Tak, mogą. Oczywiście nie rozśmiesza się ludzi umierających (choć święci i w obliczu śmierci potrafili swobodnie żartować) ani odczuwających dotkliwy ból fizyczny. Czy tak, czy owak, jednak jeśli lekarz potrafi rozśmie-

zyć chorego, to jest to wielki sukces – powiedział ktoś, widać niegłupi.

Żeby coś takiego mogło być w normalnych szpitalach... Traktowanie choroby i człowieka, który musi jej ciężar dźwigać jak najbardziej na serio i z powagą, ale jednocześnie próbować dźwignąć człowieka ponad chorobę, poszerzać jego zainteresowania i wprowadzać atmosferę pogody i humoru – nie tylko w pokojach chichoczących pielęgniarek i opowiadających różne hm... dowcipy lekarzy, ale wszędzie. Także w salach chorych. To wymaga wysiłku. Czasem trzeba zagryźć zęby, czasem może odsunąć na bok doczesne korzyści i dać z siebie trochę tego, co ksiądz Twardowski nazywa „miłością za Bóg zapłać”. Kiedy pewna lekarka powiedziała w swoim gronie, że nie będzie strajkować, bo jednak przysięga Hipokratesa zobowiązuje ją do czegoś więcej niż do wymagania godziwej zapłaty za solidną pracę, jej kolega powiedział: „Nie bądź takim Judymem!”. A może by się tych Judymów jednak trochę znalazło? Chyba zresztą już dziś można ich spotkać.

Tak mi się wydaje, że nasz – pozwalam sobie użyć tak poufałego sformułowania – Szpital ma wielkie szanse na to, by coraz bardziej takim właśnie się stawał. Słyszy się o nim opinie i takie, i owakie, ale coraz częściej: tam się człowie-

kiem naprawdę opiekują. A „Nasze Szlachetne Zdrowie” może być współtwórcą i propagatorem tej dobrej atmosfery, gdzie każdy człowiek, każdy – to znaczy głównie chory, ale także lekarz i pielęgniarka, i salowa, i pracownicy niezliczonych działów, i świeccy, i duchowni otrzymują od każdego to, co mu się należy. Podstawą wszelkiej reformy są LUDZIE. Życzę całemu Zespołowi Szpitala, by radośnie rozwijał w sobie człowieczeństwo, by miał szczęście spotykać ludzi i pomagać wszystkim, z którymi się spotyka – być Ludźmi.

październik 1999